



Mirosław Derecki (M.D.)

## EKRAN I WIDZ: MAŁE JEST PIĘKNE!

W jednym z niedawnych wywiadów Juliusz Machulski powiedział m. in.: „To, co realne, na ekranie wydaje mi się zawsze sztuczne. W kinie prawdziwa jest tylko konwencja, umowność”. A w innym miejscu, zapytany o swoją „Seksmisję”, dodał, jakby rozwijając tamten sąd: „Wiedziałem, dlaczego nie podobały mi się filmy science fiction, które oglądałem przedtem. Dziwaczny sztafaż sf. zawsze wydawał mi się idiotyczny. To wszystko powinno być śmieszne, a było strasznie serio... Bo przyznam się, że mnie nawet »Stalker« wydawał się dość nadęty. W takich filmach powinna być radość, zabawa”.

Machulski jest osobowością niekonwencjonalną, twórcą oryginalnym, wyraźnie odbiegającym od „przeciętnej” młodego polskiego kina. Machulski pokazuje otaczający go świat z zupełnie innej perspektywy niż wielu jego kolegów po fachu. Każe nam oglądać ów świat przez pryzmat komedii, groteski, ironii. A także ostrej, satyry, której nieobce jest wyraźne zabarwienie polityczne. I choć reżyser ten deklaruje się, jako zwolennik kina-baśni, to wszak od baśniowości jego filmów ciągnie chłodem straszliwej rzeczywistości. Tak było w wypadku „Seksmisji” i tak jest tym bardziej obecnie, w ironiczno-satyrycznym, a zarazem jakże gorzkim, „Kingsajzie”.

Żeby zrobić film, trzeba mieć przede wszystkim pomysły. Brzmi to jak truizm, ale często zapominamy, że właśnie na tym opiera się istota dobrego kina. Machulskiemu, jak można stwierdzić po czterech nakręconych przez niego filmach, doskonałych pomysłów nie brakuje.

W „Kingsajzie” mamy do czynienia ze światem krasnoludków, mieszkańców baśniowej Szuflandii, którym marzy się przejście do wspaniałego ludzkiego Kingsajzu (King Sicze, „królewski wymiar”, informacja umieszczana na paczkach z zachodnimi papierosami wskazuje, że posiadają one walor daleko odbiegający od powszechnej przeciętności). Na ile ów wymarzony ludzki świat, usytuowany, sądząc po urbanistycznych i architektonicznych realiach, gdzieś nad Wisłą, wybiega ponad przeciętność i czy on sam nie jest, aby przypadkiem kolejną Szuflandią innego Kingsajzu - to już oczywiście inna sprawa.

Z Szuflandii, tego spowitego kurzem i pajęczyną światka krasnali, których życie, zdaniem Machulskiego, wcale nie jest takie wesołe, jakby to się mogło wydawać z lektury Braci Grimm lub innych klasyków gatunku, przenikają różnymi sposobami do Kingsajzu tylko nieliczne jednostki. I to, oczywiście, jedynie ze „sfer kierowniczych” (lub do nich zbliżonych) w celu penetrowania ludzkiej społeczności. Przyjmują wówczas „królewski wymiar”. A dzieje się to za sprawą specjalnego preparatu, również „Kingsajzem” zwanego, którego skład chemiczny jest pilnie strzeżoną tajemnicą państwową. Należy odnotować, że spośród wysłanników do Kingsajzu wyłoniła się pewna grupa osobników, którzy - po spełnieniu swych zadań - odmówili powrotu do Szuflandii, tworząc frakcję tzw. „polokoktowców”, podtrzymujących swój ludzki wymiar za pomocą preparatu zastępczego, czyli sprzedawanego w sklepach napoju, zwanego „Polo-Coctą”. Jeden z „polokoktowców”, genialny chemik Adaś, marzy o „złamaniu” formuły chemicznej cudownego, dostępnego tylko dla wybranych preparatu i oddaniu go na użytek całej uciemionej społeczności Szuflandii.

I właśnie owe perypetie naukowca-romantyka, współdziałającego ze swym przyjacielem Olem (powiększonym także do ludzkiego wymiaru mieszkańcem Szuflandii, który „przeniknął” do redakcji kingsajzowego „Pasikonika”), stanowią główną oś fabularną filmu Juliusza Machulskiego. Wokół tej osi reżyser buduje całą masę wątków pobocznych, nieraz pozornie marginalnych, a przecież jakże ważnych za każdym razem dla ogólnej wymowy filmu. Zaś każda ze scen opiera się na feerii gagów, scenicznych „grepsów” i na kapitalnych (raz satyrycznych, innym razem purnonsensowych) dialogach, które wszakże są jakoś dziwnie „zakotwiczone” w naszej współczesnej rzeczywistości. Inna sprawa, że nadaje to trochę filmowi „przechył” kabaretowy. Ale może reżyserowi właśnie o to chodziło...

Osobne uznanie wśród twórców filmu należy się autorowi scenograf Januszowi Sosnowskiemu. A także - kostiumologom, charakteryzatorom oraz ekipie technicznej, która wykonała ogromne, w zwielokrotnionej dwudziestokrotnie skali, elementy dekoracji. Te wszystkie gigantyczne damskie pantofle, aparaty telefoniczne, zapalki, żyletki, stoły, krzesła, maszyny do pisania. Czy też – super-czajnik, w którym zażywa kąpieli (to jedna z najbardziej kapitalnych sekwencji „Kingsajzu”!) Wszechwładny przywódca Szuflandii, Kilkujadek.

Udało się Machulskiemu zapewnić filmowi na ogół doskonałą obsadę aktorską. Prawdziwy koncert gry dają (poza wcielonym w postać Kilkujadka - Jerzym Stuhrem) Jacek Chmielnik jako dziennikarz Olom oraz Grzegorz Heromiński w roli chemika-wynalazcy Adasia. No i oczywiście Katarzyna Figura - sex-bomba tego filmu, której obecność na ekranie (zwłaszcza w scenach „rozneglizowanych”) pozwala zapomnieć o pewnych dłużyznach, jakich Machulski nie potrafił uniknąć. W ogóle momentami dzieje się w „Kingsajzie” trochę

„za dużo” i „za długo”, co oczywiście nie wpływa na całokształt odbioru owej tylko pozornie - baśni o krasnoludkach, która niewątpliwie będzie miała na naszych ekranach ogromne powodzenie.

A swoją drogą ciekawe, jak zostanie film Machulskiego odebrany przez publiczność w innych krajach? Co dojdzie do tamtejszego widza z tych różnorodnych „cienkich aluzji”, które polskiego widza walą niekiedy jakby obuchem w łeb?

„Małe jest piękne” - brzmi jedno z naczelných haseł władców Szuflandii. Ale nie wszystkie krasnoludki wydają się w to wierzyć.

Pierwodruk: „Kamena”, 1988, nr 11, s. 11.